LOKALNIE · POLEMIKA

CZY CHCEMY POLSKIEGO MULTI-KULTI? ZWODNICZY MIT I RP

Kacper Kita · 30 maja 2022



Pojawienie się w Polsce kilku milionów ukraińskich uchodźców wojennych, prawie wyłącznie kobiet z dziećmi, wywołało powszechny odruch solidarności i chęci pomocy potrzebującym. Jednak jednocześnie niemała liczba komentatorów uznała zaistniałą sytuację jako szansę na systemową przemianę Polski w państwo z definicji wielonarodowe i wielokulturowe. Za entuzjazmem wobec tego rodzaju pisanych palcem po wodzie projektów kryje się inteligenckie bujanie w obłokach, ale często także zwykły postimperialny paternalizm wobec traktowanych z góry Ukraińców.

Nowa, wspólna Rzeczypospolita?

„Mam wrażenie, że ponura agresja rosyjska gwałtownie odwraca kilka wieków polsko-ukraińskiej historii. Zbiorowe poczucie wspólnoty obu narodów jest dziś silniejsze nawet, niźli było wtedy, gdy prawosławny kniaź Ostrogski ratował Rzeczpospolitą przed Moskwą, a jego święty syn składał podpis pod aktem unii lubelskiej" – tak pisał 17 kwietnia Jan Rokita na łamach portalu Wszystko Co Najważniejsze. Zdaniem niegdysiejszego kandydata na „premiera z Krakowa", a dziś konserwatywnego publicysty, „z każdym dniem bohaterskiej obrony wolności Ukrainy tamta dawna, piękna, choć naznaczona tyloma wadami wspólna Rzeczpospolita na powrót staje się wspólną dziejową ojczyzną Polaków i Ukraińców".

Bardzo cenię Jana Rokitę i z zainteresowaniem czytam jego artykuły dotykające najróżniejszych, ale zawsze ważnych zagadnień. Do takich niewątpliwie należy przyszłość relacji polsko-ukraińskich oraz szerzej układ polityczny w Europie Wschodniej, który wyłoni się wraz z trwającą za naszą granicą wojną. Te wnioski uważam jednak za ekstrawaganckie i abstrakcyjne rozważania typowe dla bujającego w obłokach intelektualisty. „Jajogłowi" uwielbiają z pozycji wygodnego fotela planować radykalną, konstruktywistyczną przebudowę rzeczywistości. Punktem wyjścia Rokity nie jest „to, co jest", ale „to, co być powinno". Wieloletni poseł swój tekst puentuje zdaniem: „Jak z oblężonego Kijowa mówi dzielny prezydent Włodzimierz Zełenski: «Tak naprawdę nie mamy już granicy z przyjazną Polską, ponieważ razem jesteśmy po stronie dobra»".

Moralna słuszność Ukraińców broniących swojego kraju przed obcą napaścią jest oczywista, ale owo „bycie razem po stronie dobra" w równie oczywisty sposób nie stanowi podstawy do budowy wspólnego państwa. Tak samo jak przyjazne nam, ładne i wdzięczne słowa Zełenskiego w oczywisty sposób nie oznaczają chęci zrzeczenia się przez Ukraińców własnej suwerenności na rzecz istniejącej tylko na papierze Rzeczpospolitej. Czytając teksty Rokity i słuchając wypowiedzi wielu innych komentatorów, można odnieść wrażenie, że nawet ważniejsza od etyki jest estetyka. „Wspólna Rzeczpospolita" jest „piękna", więc powinna zaistnieć. Czy jeszcze piękniejsze nie byłoby, gdyby pewnego dnia Rosjanie postanowili pod wpływem presji świata zaprzestać niemoralnej inwazji i zadośćuczynić Ukraińcom, a następnie żyć razem w pokoju? Albo gdyby każde dziecko w sierocińcu odnajdywało kochającą rodzinę? A jednak ani jedno, ani drugie nie będzie miało miejsca.

Zdaniem Rokity „[Pierwsza] Rzeczpospolita była wspólnotą społecznej elity polskiej i ruskiej, a dziś wojna wytwarza na naszych oczach głęboką wspólnotę ludów. W Polsce ostatecznie zamilkli marginalni co prawda, ale potrafiący wbijać klin pomiędzy oba narody głosiciele historycznych resentymentów". Oto „ostatecznie", raz na zawsze zanikły historyczne zatargi między Polakami i Ukraińcami. Wszyscy Polacy niechętni Ukraińcom oraz Ukraińcy niechętni Polakom rozpłynęli się w powietrzu. Takie myślenie życzeniowe przypomina mi przepowiednię z Tęgoborzy, wedle której przyszłość miała przynieść Polsce wielki tryumf i wynagrodzenie wszystkich ponoszonych przez wieki krzywd. Zło – Niemcy i Rosja – zostaną trwale pokonane, a Polska stanie się imperium i centrum świata.

„Złamana siła mącicieli świata

Tym razem będzie na wieki.

Rękę wyciągnie brat do swego brata,

Wróg w kraj odejdzie daleki.

(...)

Bitna Białoruś, bujne Zaporoże,

Pod polskie dążą sztandary.

Sięga nasz orzeł aż po Czarne Morze,

Wracając na szlak swój prastary.

Witebsk, Odessa, Kijów i Czerkasy

To Europy bastiony,

A barbarzyńca aż po wieczne czasy

Do Azji ujdzie strwożony.

Warszawa środkiem ustali się świata,

Lecz Polski trzy są stolice.

Dalekie błota porzuci Azjata,

A smok odnowi swe lice.

(...)

Powstanie Polska od morza do morza.

Czekajcie na to pół wieku.

Chronić nas będzie zawsze Łaska Boża,

Więc cierp i módl się, człowieku".

Przepowiednia została opublikowana w marcu 1939 r., rzekomo jako dzieło „medium" uzyskane podczas seansu spirytystycznego w 1893 r. Oczywiście nie sprawdziło się z niej dokładnie nic, ale nie przeszkodziło to wielu ludziom ekscytować się jej treścią przez kolejne lata. Ucieczka od rzeczywistości w fantazje o przyszłym tryumfie i dziejowej sprawiedliwości ukształtowała się jako odruch wielu Polaków podczas zaborów, a później powróciła podczas okupacji i PRL. Ostatecznie naszym narodowym poematem są „Dziady" ze słynnym hasłem „Polska Chrystusem narodów". Wiara w odrodzenie i tryumf ukrzywdzonej Ojczyzny analogiczne do Zmartwychwstania Pańskiego była zrozumiała i potrzebna, gdy nie mieliśmy własnego państwa. Spełniła swoją rolę, podobnie jak wiele dzieł pisanych wówczas „ku pokrzepieniu serc".

CZYTAJ TAKŻE: Polska wobec proputinizmu części zachodniej prawicy. Cz.1

Postimperialne fantazje kryją poczucie wyższości

Dziś jednak mamy swoje własne, niepodległe państwo, które istnieje już ponad 30 lat – dłużej niż I wojna światowa, II RP i II wojna światowa razem wzięte. Wobec największego po 1989 r. kryzysu w naszym regionie musimy myśleć tak, jak myśli odpowiedzialny naród posiadający własne państwo, a nie jak przestraszona grupka wiecznie będąca pod cudzym butem i wiecznie tęskniąca za utraconą wielkością. Musimy myśleć inaczej niż robili to nasi przodkowie przez dwieście lat, bo jesteśmy w innej od nich sytuacji. Polskie państwo narodowe w aktualnych granicach to konkret, który powinien być naszym punktem wyjścia.

> Wielonarodowa Rzeczpospolita to dziś papierowa fantazja, która może zaszkodzić również relacjom Polaków z Ukraińcami, jeśli będzie się z nią nieodpowiedzialnie igrać. Ukraińcy biją się dziś o własne państwo. Z Ukraińcem na czele, ukraińskimi urzędami, ukraińskim językiem urzędowym.

Rojenia o państwie wielonarodowym jest w roku 2022 całkowicie anachroniczne. Nikt poza grupką intelektualistów nie będzie się nigdy czuł Rzeczpospolitańczykiem. Zwykły człowiek czuje się Polakiem lub Ukraińcem. Ewentualnie może czuć się jednym i drugim, jeśli jest z rodziny mieszanej. Imperialne państwa wielonarodowe mogły istnieć w warunkach przednowoczesnych. Potem albo czekał je los Austro-Węgier w 1918 r., albo siłą, czasem zbrodniami, wymuszały posłuszeństwo. Jak Rosja, która dziś próbuje siłą zmusić Ukraińców do porzucenia własnej podmiotowości.

Próba odbudowy „wielonarodowej Rzeczpospolitej" w obecnych granicach Polski jest absurdalna i niebezpieczna z jeszcze dwóch ważnych powodów. Po pierwsze, Rzeczpospolita Obojga Narodów istniała na bazie mieszkających na własnych ziemiach, sąsiadujących od setek lat wspólnot. Dzisiaj Polska jest państwem jednolitym etnicznie i religijnie, może co najwyżej sztucznie sprowadzać sobie samoświadome mniejszości – to zupełnie co innego. Po drugie, I RP była państwem znacznie rozleglejszym terytorialnie od obecnej Polski, a migracje dokonywały się w nim w obie strony. Dziś nie ma natomiast mowy o osiedlaniu się milionów Polaków na Ukrainie czy Białorusi. Tylko Polacy mieliby czynić ze swojego państwa utopijny wielonarodowy byt, gdy inni mieliby zachować spójną tożsamość wspólnoty i własne państwa narodowe.

Trzeba nazwać problem po imieniu. Istotna część polskich elit intelektualnych nie chce pogodzić się z obecnymi granicami i narodowościowym kształtem Polski. Mają do pojałtańskiego porządku podejście takie jak błyskotliwy, ale anachroniczny imperialista Stanisław Cat-Mackiewicz, który demonstracyjnie nie chciał odwiedzać Szczecina, bo „do Niemiec nie jeżdżę". Istotna część polskich elit intelektualnych wciąż nie pogodziła się z tym, że Ukraińcy wytworzyli własną tożsamość i chcą mieć własne państwo. Mniej lub bardziej świadomie traktują Ukraińców z góry – tak jak robiło to wielu Polaków w XIX czy początkowym XX wieku, licząc, że ukraińskość to jeszcze jedna nietrwała tożsamość lokalna, która zostanie wchłonięta przez silniejszy żywioł polski albo rosyjski. Tak jak na odrębność i podmiotowość ukraińską nie chcą się zgodzić Rosjanie.

Protekcjonalne traktowanie Ukraińców często przejawia się też w myśleniu, że imigranci lub uchodźcy zza naszej wschodniej granicy łatwo i szybko porzucą własną tożsamość. W gruncie rzeczy dla wielu ludzi takie podejście do Ukraińców to mniej lub bardziej uświadomione odreagowywanie kompleksów wobec traktującego nas podobnie z góry Zachodu. Przyjemnie jest poczuć się kimś stojącym wyżej w hierarchii i pomyśleć o tym, jak nobilitujące powinno być miano Polaka. Chcielibyśmy, żeby Ukraińcy traktowali nas tak, jak my traktujemy Niemców, ewidentnie bogatszych i silniejszych. Problem polega na tym, że często Ukraińcy tak jak my do Niemców podchodzą do... tychże samych Niemców.

Oczywiście przebieg wojny sprawia, że stosunek Ukraińców do Niemców staje się coraz bardziej krytyczny, a do Polaków coraz cieplejszy. Im bardziej Kijów staje się zdystansowany wobec Berlina i niemieckiej dominacji w Europie, tym lepiej dla Warszawy. Nadarzającą się dziś okazję do zwiększania tego dystansu oraz równolegle do budowy pozycji Polski na Ukrainie i dobrych relacji polsko-ukraińskich trzeba wykorzystywać do maksimum. Przedmiotem tego artykułu nie jest jednak polityka międzynarodowa, ale wewnętrzna. Dr Michał Sadłowski napisał niedawno: „Nie widzę sprzeczności w jednoczesnym maksymalnie możliwym wsparciu ratowania państwowości ukraińskiej oraz ukraińskiego w ogóle przed planami Kremla oraz głoszeniem postulatów o konieczności zachowania narodowej formy i charakteru państwa polskiego (narodowym w sensie kulturowym)". Pod tymi słowami się podpisuję.

Imperialiści odrzucają państwo narodowe ramię w ramię z radykalną lewicą

Jednonarodowa Polska to również dla wielu polskich patriotów odrzucające dzieło Stalina. Jerzy Marek Nowakowski w „Nowej Konfederacji" pisał niedawno ze wzgardą o „komunistycznej propagandzie" promującej państwo jednonarodowe. Przywołuje znany cytat Czesława Miłosza o tym, że „jest ONR-u spadkobiercą partia". Oto komuniści, Stalin i zdemonizowani przedwojenni nacjonaliści mają stanowić wspólnotę odrażających zbrodniarzy niszczących wielonarodową Rzeczypospolitą. Widzimy tu *de facto* przyjmowanie perspektywy radykalnej, „nowej" lewicy porzucającej rozczarowujący komunizm na rzecz ideałów rewolucji 1968 roku. Na rzecz politycznej religii multikulturalizmu, znakomicie opisanej przez kanadyjskiego eseistę Mathieu Bock-Côtégo. Widzimy tu pełną zgodę z Jurgenem Habermasem czy Danielem Cohn-Benditem, głoszącymi zbrodniczość samej idei narodu i państwa narodowego. Głoszącymi, że historia Europy to historia zbrodni i wyzysku mniejszości, które swoją kulminację osiągnęły wraz z Holocaustem.

> Propagatorzy utopii „wielonarodowej Rzeczypospolitej" oraz radykalna lewica wyznająca „ideały maja 1968" są całkowicie zgodni co do swoich celów – państwo jednonarodowe nie ma moralnego prawa istnieć i należy je zwalczać. Zgodnie przyjmują też te same środki – masową imigrację oraz odrzucenie asymilacji jako niemoralnej.

Sprawująca kulturową hegemonię w większości państw zachodnich nowa lewica wyciąga z przerażających zbrodni XX wieku wniosek o konieczności napiętnowania idei narodu jako takiego. Instytucje konstytuujące przez całą wcześniejszą historię cywilizacji życie ludzkie – rodziny, wspólnoty religijne i narody – są napiętnowane jako narzędzia opresji, które trzeba zdekonstruować. Ta dekonstrukcja tożsamości oraz masowa imigracja mają doprowadzić do zaniku narodów, a w konsekwencji do pokojowej koegzystencji wyemancypowanych jednostek. Racjonalny, a nie ideologiczny wniosek jest jednak zupełnie inny. Odpowiedzią na nieusuwalną ułomność ludzkiej natury i potencjał zbrodni w imię dominacji swojej wspólnoty jest model, w którym każdy naród posiada swoje państwo. Dekonstrukcja jest bowiem niebezpieczną utopią.

Racjonalną odpowiedzią na przerażające doświadczenie zbrodni XX wieku jest oparcie porządku międzynarodowego na państwach narodowych. To prosty, przejrzysty, uczciwy model. Każdy ma swoje państwo, które urządza sobie po swojemu. Polacy swoje. Ukraińcy swoje. Białorusini swoje. Niemcy swoje. I tak dalej. Niska liczba konfliktów granicznych i narodowościowych w naszym regionie to błogosławieństwo dla spokojnego i bezpiecznego życia w nim. Tak jak każda rodzina w sąsiedztwie powinna mieć własny dom czy mieszkanie. Nawet najlepszym sąsiadom nie proponujemy, żebyśmy zamieszkali z nami i naszą rodziną w jednym domu. Prościej się dogadywać, gdy każdy jest na swoim. Można i warto się odwiedzać, współpracować, ale nie należy popadać w odmęty szaleństwa.

Oczywiście można się bawić w dyskusje o tym, które granice – II czy III RP – były „lepsze" (cokolwiek by to miało oznaczać). Podobnie jak można się bawić w zastanawianie się nad tym, czy Unia w Hadziaczu mogła przetrwać i być podstawą Rzeczypospolitej Trojga Narodów. Mogą to być debaty akademickie, ewentualnie rozważania kolegów przy kieliszku. Równie dobrze jednak 50-letni mężczyzna przeżywający kryzys relacji z żoną może się zastanawiać, czy nie powinien dwadzieścia lat temu wybrać innej koleżanki

ze studiów. Albo czy nie byłoby lepiej, gdyby przetrwała jego pierwsza, szkolna miłość. Och, tamta to była ładna, miła, urocza... Z nią na pewno byłbym szczęśliwy... To zabawa w ucieczkę w fantazje, która łatwo może okazać się szkodliwa dla niedoskonałych, ale realnie istniejących bytów, takich jak małżeństwo z tą konkretną kobietą albo te konkretne granice z 1945 r.

CZYTAJ TAKŻE: Kto stoi za aktywistami oskarżającymi Straż Graniczną o rasizm?

Czy różnorodność to siła?

Zarówno „rzeczpospolitańscy" imperialiści, jak i nowolewicowcy przyjmują jednak te same utopijne założenie, zgodnie z którym „różnorodność to nasza największa siła". Znów widzimy tu prymat etyki i estetyki nad racjonalną i empiryczną analizą rzeczywistości. Intelektualistom fantazjującym o tym, jak być powinno i co jest dla nich piękne – czy tęskniącym za I RP, czy nowolewicowym np. ze szkoły frankfurckiej – wydaje się, że ich papierowe projekty można po prostu wcielić w życie siłą. „Różnorodność" i wspólnoty konstruowane są dla nich w oczywisty sposób bardziej kuszące niż wspólnoty istniejące naturalne. Tak jak w przypadku każdej utopii, intelektualistów gubi pycha. Multikulturalizm w praktyce poniósł jednak porażkę – przyznała to oficjalnie nawet kanclerz Angela Merkel.

Wiara w „różnorodność" jest absurdalna z punktu widzenia zdrowego rozsądku. Z kim łatwiej nam się porozumieć, z kim łatwiej nam zbudować relację, komu łatwiej nam zaufać, w czyim towarzystwie czujemy się bardziej komfortowo – kogoś, z kim mamy coś wspólnego (rodzinę, pochodzenie, język, religię, kulturę), czy kogoś obcego? Tej utopii jasno przeczy też empiria w państwach dogmatycznie multikulturalnych, takich jak współczesne Stany Zjednoczone czy Francja.

CZYTAJ TAKŻE: Piąta kolumna islamizmu. Czemu służy islamizacja tureckiej diaspory we Francji?

Jeden z najważniejszych amerykańskich politologów Robert Putnam do swojej pracy „Różnorodność i wspólnota w XXI wieku" zbierał przez 5 lat dane od 30 tysięcy osób. Badanie potwierdziło zdroworozsądkowo oczywiste prawdy. Im bardziej dana społeczność staje się etnicznie różnorodna, tym bardziej spada w niej poziom zaufania. Co ciekawe, nie tylko do członków innej grupy etnicznej, ale również do członków własnej. Putnam porównał ludzi żyjących w etnicznie różnorodnych społecznościach do żółwi, które chowają się do swojej skorupy. W takich miejscach ludzie mniej angażują się w życie wspólnoty, rzadziej udzielają się jako wolontariusze, dają mniej pieniędzy na organizacje charytatywne, mniej wierzą w możliwość dokonania przez siebie społecznej zmiany. Różnorodność etniczna powoduje niższe zaufanie wobec współobywateli i rzadszą interakcję z nimi również przy uwzględnieniu rozwarstwienia w dochodach i poziomu przestępczości.

Te i inne badania potwierdzają również wiele pozostałych, przewidywalnych zjawisk. Wraz ze wzrostem „różnorodności" etnicznej na danym obszarze spada zaufanie do policji. W „różnorodnych" miastach niższe są wydatki na lokalne drogi, infrastrukturę, edukację, nawet na oczyszczalnie ścieków czy wywóz śmieci. Wobec czego jakość życia w „różnorodnych" miastach tym bardziej się pogarsza. Napływ imigranckich dzieci do szkół powoduje zmianę placówki przez dzieci tubylcze – to też potwierdzają badania.

Jakie więc skutki ma przyjęcie multikulturalizmu jako ideologii przez elity w danym państwie? Elity, dodajmy, tworzone przez takich fantazjujących intelektualistów oraz wspierane przez pragnący importu taniej siły roboczej wielki biznes. Podstawowe skutki są dwa. Po pierwsze, atomizacja społeczna. Po drugie, rozwarstwienie między kosmopolitycznymi elitami, zwykłymi mieszkańcami danego kraju oraz ludnością po-

chodzenia imigranckiego, która z definicji ma się nie asymilować. Zamiast spójnego narodu i jednej kultury powstaje wiele równoległych grup, które żyją na terenie jednego państwa, ale przestają mieć ze sobą cokolwiek wspólnego. Są od siebie coraz bardziej odległe pod względem sposobu życia i poglądów politycznych. Przestają żyć w tych samych miejscach – kosmopolici żyją w swoich dzielnicach, autochtoniczny lud w swoich, imigranci w swoich. Każdy ma swoje szkoły, swoje instytucje, swoją kulturę i wydaje swoje dzieci za osoby z tej samej grupy.

Jerzy Marek Nowakowski proponuje Polsce model „integracja, ale nie asymilacja". Ten model funkcjonuje od lat we Francji. Jego skutki są oczywiste, a także znakomicie opisane. Każde kolejne pokolenia imigrantów muzułmańskiej religii i kultury, od których nie wymaga się asymilacji, są bardziej zdecydowane w pozostawaniu przy swojej tożsamości. Im młodsi muzułmanie we Francji, tym bardziej religijni i konserwatywni, a mniej świeccy i tolerancyjni. A do tego oczywiście im młodsi, tym liczniejsi. Wszystkie te zjawiska są opisane przez wybitnych socjologów, z których żaden nie jest nawet konserwatystą, a tym bardziej nacjonalistą – wspomnianego już Roberta Putnama („Różnorodność i wspólnota w XXI wieku", „Grając w kręgle samemu") i Charlesa Murraya („Rozpad. Stan białej Ameryki 1960-2010") dla Stanów Zjednoczonych oraz Jérôme'a Fourqueta („Francuski archipelag. Narodziny narodu wielorakiego i podzielonego" – gra słów z pozostającym już tylko na papierze hasłem „Republiki jednej i niepodzielnej") dla Francji.

A więc co robić?

Po pierwsze – odrzucić szkodliwą fantasmagorię o unii polsko-ukraińskiej, która potraktowana poważnie wpisywałaby się idealnie w kremlowską propagandę o chęci podporządkowania sobie Ukrainy przez Polskę oraz odbudowywałaby wśród Ukraińców mit „polskiego pana". W czasie II wojny światowej też pojawił się pomysł unii francusko-brytyjskiej. Na szczęście nie został jednak zrealizowany. Francuzi z pomocą Brytyjczyków ostatecznie po prostu wygrali, mieli dalej własne państwo i bliskie relacje z Wielką Brytanią. Po prostu. Wytworzyły się warunki do współpracy, a przetrwanie niezależnej od Rosji Ukrainy jest w naszym interesie narodowym – to oczywiste. Oczywiste jest też, że podczas takiej współpracy warto symbolicznie odwoływać się do wspólnej przeszłości. Ale musi to być współpraca oparta na realnych podstawach i zdrowym rozsądku. Bez fantasmagorii. Jeśli Ukraińcy i inni będą widzieli u nas myślenie postimperialne, to będą tym bardziej wybierać Niemców, u których jest myślenie postimperialne, ale są dużo bogatsi i silniejsi.

Po drugie – przyjmować potrzebujących uchodźców wojennych z Ukrainy i pomagać im. To moralny obowiązek. Jednocześnie jednak jasno wymagać asymilacji od każdego, kto chce się w Polsce osiedlić na stałe. Ogromna (ok. 95%) większość uchodźców to kobiety i dzieci, co potencjalnie sprzyja asymilacji. Jak pokazuje w swojej książce ww. Fourquet, dla każdej grupy etnicznej imigrantów we Francji (pochodzący z Algierii, Maroka, Tunezji, Sahelu, Turcji, Europy Południowej, Azji Południowo-Wschodniej) odsetek kobiet-imigrantek wychodzących za miejscowych mężczyzn jest wyższy niż mężczyzn-imigrantów żeniących się z miejscowymi kobietami. Znaczącą różnicę widzimy też przy nadawanych imionach dzieci z mieszanych związków – to po ojcu zazwyczaj dziedziczy się nie tylko nazwisko, ale też imię (pochodzące z kultury miejscowej przy miejscowym ojcu oraz z kultury imigranckiej przy imigranckim ojcu).

Po trzecie – nie ulegać szantażowi wielkiego biznesu i jego lobbystów („gospodarka potrzebuje imigrantów!") ani szantażowi moralnemu radykalnej lewicy („granice i państwo narodowe to rasizm!"). Jest

oczywiste, że wejście Polski na drogę ideologicznego multi-kulti oraz gospodarczego modelu opartego na stałym importowaniu milionów ludzi nie skończyłoby się na Ukraińcach. Tania siła robocza jest dla firm jak narkotyk, a muzułmanie czy inni imigranci spoza Europy są bardziej od białych i chrześcijańskich Ukraińców atrakcyjni dla promotorów multi-kulti.

fot: bydgoszcz.pl

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/czy-chcemy-polskiego-multi-kulti-zwodniczy-mit-i-rp/

DOBRA ANALIZA WYMAGA CZASU

Rzetelny tekst to dni pracy: źródła, dane, redakcja. Każda wpłata pozwala nam przygotować kolejny. Nawet niewielka kwota ma znaczenie.

WSPIERAM ANALIZY

wspieram.nlad.pl



Zeskanuj, aby wesprzeć